



Ilustracja: Natalia Kulka

Między brakiem a nadmiarem

Z Ireną Grudzińską-Gross rozmawia Joanna Tokarska-Bakir

Irena Grudzińska-Gross: Pierwszy temat, który zawsze mi odradzano, to druga wojna światowa. Dlatego, że „to takie okropne”, a należy unikać makabry. Drugi – związany z pierwszym – to historia rodzinna. Trzeci, którego nikt mi co prawda wprost nie odradzał, ale sam język nie pozwalał o tym mówić, jakoś się mówieniu o tym sprzeciwiał, to tzw. temat żydowski. Połączenie wojny, tematyki rodzinnej i żydowskiej spowodowało, że poszłam na studia romanistyczne, zajęłam się XIX w. i na dodatek zawsze zajmowałam się piszącymi mężczyznami, nigdy kobietami.

Joanna Tokarska-Bakir: Czy kobiety także Ci odradzano?

Nie było potrzeby. Sama wiedziałam, że zajmowanie się nimi jest „niepoważne”. Wystarczyło, że badałam literaturę francuską. To także uważano za dosyć damskie zajęcie, więc na wszelki wypadek zajęłam się „bardzo poważnymi mężczyznami”.

Miłoszem?

Miłoszem zajmuję się teraz, wtenczas był to Custine i Tocqueville. Paradoksalnie oni pozwolili mi wrócić do odradzanych tematów, tyle że drogą okrężną. Pisali przecież o polityce, o Rosji, totalitaryzmie, demokracji, autorytaryzmie.

Mogłaś być jeszcze dalej od tematów niewskazanych. Na przykład pójść na medycynę.

Po wyjeździe z Polski¹ byłam niesamowicie strauumatyzowana. By wyjść z szoku, poszukiwałam jakiegoś sposobu na bycie przydatną. Byłam wtedy we Włoszech. Postanowiłam zostać lekarką, tak jak moja mama.

Ale przyszło do prosektorium.

Siadłam naprzeciwko ludzkiego ramienia, przyszedł profesor i zaczął je rozrywać, pokazując kolejne pokłady mięśni. Wtenczas pomyślałam, że już raczej zostanę historykiem medycyny. Wiedziałam, że dalej będę studiować, ale zakładałam, że w nowym języku nie będę mogła pisać. W Stanach Zjednoczonych poszłam znów na romanistykę. Gdy kończyłam studia, była wielka nadprodukcja doktoratów, dlatego byłam pewna, że nigdy żadnej pracy nie dostanę. Skończyłam doktorat tylko dlatego, by choć jedną rzecz w swoim życiu dokończyć.

Czego nie skończyłaś?

Studiów w Polsce, pierwszych studiów we Włoszech, drugich studiów we Włoszech. Było tego za wiele. Wymyśliłam, że jak po doktoracie nie będę miała pracy, to pójdę na prawo. Ale pracę dostałam. Zaczęłam od uczenia włoskiego, potem uczyłam francuskiego, następnie literatury. Kiedy wydałam książkę o Custinie i Tocqueville'u w 1991 r. [Grudzińska-Gross 1995], dostałam stałą pracę w Atlancie. Dla osób zainteresowanych historią i kulturą czarnego południa Atlanta to znakomite miejsce, ale dla badaczki Europy Środkowej jest trochę za daleko.

Jesteś współautorką *Złotych żniw*, a przecież to jest sam środek tabu. Tą książką przejechaliście jak ciągnikiem przez pole minowe [Gross, Grudzińska-Gross 2011].

Kiedy Jan zaczął pracować nad *Żniwami*, dużo o tej książce rozmawialiśmy, ale przez myśl mi nie przeszło, że sama cokolwiek o tej tematyce napiszę. Po kolejnej rozmowie powiedział: „Słuchaj, napisz to. To, co teraz powiedziałaś”. Napisałam, a on na to: „No to zrobimy tak, że napiszemy tę książkę razem”. Gdyby zaproponował mi to, nim sam zaczął nad książką pracować, nigdy bym się nie zgodziła. Byłam pewna, że nie mam nic do powiedzenia na ten temat. W „kwestii żydowskiej” traktowałam siebie jak czytelniczkę, nie autorkę.

¹ Irena Grudzińska-Gross była aresztowana i skazana za uczestnictwo w „wydarzeniach marcowych”. Wyemigrowała z Polski 28 października 1969 r.

Czy, pracując nad *Żniwami*, czułaś, że dotykasz jakiegoś zakazu? A może poczułaś ulgę, bo odpuściłaś sobie wierność zakazowi?

Mogę powiedzieć tylko tyle, że po napisaniu fragmentu zapomniałam o nim, by potem, czytając go na nowo, przeżywać za każdym razem szok. Odrzucało mnie od wiedzy, która w tym była. Dużo czasu mi zajęło, by tę wiedzę ustabilizować. Przyswoić to, co już wiedziałam.

Jak przeżyłaś recenzje książki, które ukazały się w Polsce?

Nadspodziewanie dobrze. Przede wszystkim jest bardzo dużo ludzi, którzy na ten temat myślą i rozmawiają, którzy nadają na podobnych falach. Jedni są bardziej, inni mniej krytyczni, ale sprawiają, że człowiek nie czuje się jak na pustyni. Otrzymałam dużo wsparcia i zainteresowania. Więcej niż się spodziewałam, dlatego polska recepcja okazała się łagodniejsza, niż sądziłam. Po drugie, ataki były na tyle beznadziejne, że bardziej mnie zdenerwowały, niż zdołowały.

I wprowadziły Cię w odpowiedni nastrój?

Od razu weszłam „na falę”.

A korespondencja mailowa?

Maile zasypały i mnie, ale głównie Jana. Jeszcze przed promocją. Była to ohydna, zorganizowana kampania listowa, masowa produkcja obelg. Ani jeden z tych maili nie zawierał uwag merytorycznych, więc nie poczułam się nazbyt dotknięta. Pisano przede wszystkim: „przecież pani jest Polką, więc dlaczego pani z tym Żydem...”, „czy pani się stawia po stronie Żydów?” itd.

Na wystawie w warszawskiej Zachęcie można było przeczytać listy, które dostała Anda Rottenberg w czasie, gdy jako szefowa Zachęty sygnowała wystawy Ukłańskiego² i Cattelana³. Pomyślałam, że Grossowie też mogliby przygotować wystawę listów, które otrzymali.

To jest dramatycznie nudne! I absolutnie powtarzalne. Wracając do tematów odradzanych, myślę, że jestem bardzo typowa dla mojego pokolenia. Oczywiście mogę mówić tylko za siebie, ale dużo osób urodzonych po wojnie, szczególnie w rodzinach komunistycznych, zostało wychowanych przez rodziców zdeterminowanych, by nie narazić swoich

2 W 2000 r. na wystawie *Naziści* w warszawskiej Zachęcie Piotr Ukłański umieścił 164 zdjęcia eleganckich i przystojnych aktorów obsadzonych w roli nazistów. Wystawę zniszczył jeden z prezentowanych na niej aktorów, Daniel Olbrychski.

3 Mowa o rzeźbie Maurizio Cattelana *Dziewiąta godzina*, wystawionej w 2000 r. w Zachęcie. Rzeźba przedstawiała meteoryt, który przygnoił Jana Pawła II. Została zniszczona przez Witolda Tomczaka i Halinę Nowinę-Konopczyńską – prawicowych postów polskiego sejmu.

dzieci na cierpienie, rozpocząć nowe życie, wziąć drugi oddech, ochronić młodzież przed wiedzą o tym, co straszne. W efekcie, z pomocą także politycznych narzędzi, tworzyli oni coś na kształt kokonu niewiedzy.

Bali się siły rażenia własnych doświadczeń wojennych?

Bo ta siła rzeczywiście była ogromna. Z czasów szkolnych pamiętam, jak na jakiejś nudnej lekcji w ósmej klasie powiedziałam do nauczycielki rosyjskiego, że Hitler musiał być bardzo inteligentnym i zdolnym człowiekiem, skoro zmobilizował całe Niemcy. Awantura była taka, że o mało nie wyleciałam ze szkoły. Wezwano dyrektora i rodziców. Faktycznie była to z mojej strony prowokacja, ale nie przewidziałam, że nauczycielka dostanie spazmów. Pewnych tematów nie wolno było tykać żadnym żartem.

Jestem przekonana, że dzisiaj każde dziecko w gimnazjum mogłoby coś takiego powiedzieć. I to na poważnie.

Sprawa była bardziej skomplikowana, bo z kolei na podwórku, gdy bawiliśmy się w wojnę, każdy z nas chciał być Niemcem. Niemcy byli górą, Niemiec miał pistolet, aresztował ludzi. Nie chcieliśmy się bawić w bycie Polakami.

Co mieli Polacy na waszym podwórku?

Polacy walczyli. Byli partyzantami. Więc najpierw trzeba było zbudować Niemca, żeby był silny i ważny. Dopiero wtedy można było z nim walczyć. A potem to wszystko zobaczyliśmy w *Kapitanie Klosie*. Polacy to byli ci partyzanci, co się przesuwali pod ścianami. Łachudry źle ubrane i chowające się po kątach.

A przystojny był tylko Bruner.

Nasz Bruner. To był okres budowania kłamstw. Zasypywania dziury. Jamy. Między innymi z pomocą straszliwej propagandy antyniemieckiej. W *Czarnych sezonach* Michał Głowiński wspomina, że nie uważał Niemców za ludzi. On się urodził przed wojną i przeżył ją jako żydowski chłopiec, ale tak samo myślało o Niemcach moje pokolenie. Totalnie ich demonizowano. Niemcy to był absolutny koszmar. Język niemiecki można było usłyszeć tylko w wydaniu hitlerowskim: *Hände hoch!, Juden raus!, Schnell, Schnell!*

Ja też mam uraz do tego języka. Cieszę się, że moja córka już nie ma. Wracając do zabaw na podwórku, dzisiaj w te zabawy bawią się tak zwani rekonstruktorzy. 13 grudnia 2011 r. przebrali się za ZOMO i odgrywali wprowadzenie stanu wojennego, a 11 listopada 2011 r.

starli się zupełnie na serio z berlińskimi antyfaszystami, co było komentowane w kraju i za granicą. Dzisiaj zabawa w Polaków przynosi więcej satysfakcji niż kiedyś.

Inną zabawą podwórkową było bawienie się w Indian. Tyle że tutaj zaczynał się problem innego rodzaju. Ja zawsze starałam się być siostrą Winnetou. Zresztą wśród partyzantów i Niemców dziewczyn też raczej nie było. Tak czy siak we wszystkim, co robiliśmy, towarzyszył nam cień wojny. Wyrośliśmy w nim. Z jednej strony było ciśnienie przeszłości, z drugiej ciśnienie ciszy. Z dzieciństwa pamiętam między innymi, że nie wolno było późno wracać do domu, bo mama się denerwowała. A mama się denerwowała, bo podczas wojny ludzie wychodzili i nie wracali. Domowe ciśnienie wojny polegało na tym, że nikt o niej nie mówił, nikt nie przekazał żadnej wiedzy wprost, a zarazem pamięć o wojnie nami rządziła. W efekcie zaczęłam snuć domysły, co też takiego robili moi rodzice podczas wojny, skoro nie chcą o tym mówić.

Dlaczego Cię to dziwi? Może o tym się mówić nie dało?

Byli rodzice, którzy mówili o wojnie. Tylko że oni z kolei mówili o niej cały czas.

To dotyczy także tematów żydowskich: albo jest całkowity brak, albo nadmiar. Albo mówi się za dużo, albo nie mówi się nic. Nigdy nie ma „właściwej” miary. Może to znak każdej traumy.

Pojęcie traumy zastosowane do doświadczeń całych zbiorowości wydaje mi się problematyczne. Ostatnio służy jako wytrych do wszystkiego.

Elżbieta Janicka kwestionuje pojęcie traumy społeczności, bo uważa, że wyjaśniając zbyt wiele, w efekcie pojęcie to piętrzy niewiedzę [Janicka 2010; 2011].

Wojna każdemu zostawiła coś, co było trudne do wspomnienia. W tym sensie łatwiej było pójść do przodu niż patrzeć na zgliszczą. Trzeba było dwudziestu lat, żeby jakoś do tych zgliszcz się zbliżyć. W tym kontekście fenomenalny jest film Janusza Morgensterna *Ambulans* z 1961 r. W Polsce praktycznie nieznaną. Trwa 9 minut, a zawiera w sobie wszystkie elementy pamięci o wojnie. Jest obóz koncentracyjny, który nie jest obozem, jest głos Hitlera, jest autostrada, jest prymitywna technologia mordowania, jest „mini-Korczak”, są dzieci, z których jeden jest łobuzem, bo rzuca kamieniem we wróbelka, jest symbol wolności w postaci latających ptaków, jest pies, jest wieża, jest pusta przestrzeń i nie ma gdzie uciekać. Do tego wszystkiego jest świetne opracowanie dźwiękowe Krzysztofa Komedy. W niesamowity sposób reżyser przedstawił wydestylowaną sytuację Holokaustu. A zarazem fabuła bezpośrednio Holokaustu nie dotyczy, więc pozwala ci na identyfikację bez wglądu na to, kim jesteś.

Uniwersalizuje i ma walory dydaktyczne.

Nie nazwałabym tego filmu dydaktycznym. Raczej estetycznie i intelektualnie niesamowicie satysfakcjonującym. Rozróżniasz każdy z elementów, a one składają się na całość, którą jest druga wojna światowa. To zarazem abstrakcja i konkret, coś nowego i coś, co doskonale znasz.

Podobno Miłosz śmiał się z Amerykanów, bo nie przeżyli wojny.

Tak, ale tylko na początku. Można to wyczytać z jego listów do Andrzejewskiego. Ci, którzy przyjeżdżali z Europy do Ameryki zatopionej całkowicie w swoich własnych sprawach – samochodu, łazienki, jedzenia, telewizji, radia – wszyscy uważali, że coś wiedzą, czego Amerykanie nie wiedzą.

Nie jest łatwo zajmować się Europą Środkową w Ameryce?

Kiedy działy się rzeczy niedobre, to był atrakcyjny temat. Dziś ludzie interesują się dużo bardziej Chinami i Rosją. Amerykanie nie traktują Europy poważnie. Uważają, że Europa się rozpada, Europejczycy to leniuchy, euro za chwilę przestanie istnieć. Są przekonani, że mocodawcy w Europie powinni zaciskać pasa, zwalniać ludzi, zabierać ubezpieczenia. Ale sukces polskiej poezji w Stanach Zjednoczonych opiera się między innymi na tym, że Amerykanie też uważają, że „czegoś” nie przeżyli. Zdają sobie sprawę, że nie doświadczyli historii tak okrutnej, jak ta europejska.

To się zmieniło, odkąd Stany Zjednoczone zaangażowały się w wojny?

To ciągle się zmienia. Ja sama inaczej dziś myślę o 11 września 2001 r. niż wówczas. Wtedy mnie też porwał moment. Odruch solidarności z zabitymi. Chociaż nigdy nie straciłam krytycyzmu. Nigdy też nie obróciłam się przeciwko Susan Sontag, która za swój krytycyzm doświadczyła fali nienawiści. Nacisk na nią był tak wielki, że ona sama częściowo zmieniła zdanie.

Chodziło o to jedno jej zdanie: „Cokolwiek można o terrorystach powiedzieć, to nie to, że byli tchórzami” [Sonntag 2001].

Sontag mówiła: „Obchodźmy razem żałobę. Ale nie bądźmy razem głupcami”. Zachowała trzeźwość, kiedy trzeba było poddać się zbiorowej hipnozie. W wywiadzie, którego mi udzieliła w rocznicę tego ataku [Grudzińska-Gross 2002], przetłumaczonym potem na dwanaście języków, tłumaczyła się z tej trzeźwości, że była za granicą, że pewnie w Nowym Jorku przeżywałaby to inaczej, że gdyby stała na West Highway i widziała ludzi uciekających, przysypanych pyłem, to poddałaby się tej fali itd. Bo skala ataku na nią była

nieprawdopodobna. Cała nienawiść skupiła się na niej. Media chciały wdeptać ją w ziemię. Denerwowała wszystkich. Intelktualistka, kobieta, Żydówka, lesbijka – było wiele powodów, żeby ją zamordować, a do tego jeszcze ośmiela się powiedzieć coś takiego! I to w atmosferze niespotykanego ferworu. Co i rusz odbywały się spotkania i msze pełne mężczyzn w mundurach: harcerskich, strażackich, wojskowych, policyjnych, lotniczych.

Sam Bush zaczął się fotografować w panterce.

Wszyscy grali hymn narodowy, trzymali rękę na sercu i płakali. A ja coraz bardziej się bałam, w co za chwilę zamieni się ta energia, te łzy. Przypominało mi to męskie chóry rosyjskie. Batalion mężczyzn, którzy zawodzą: „Kochana Nadio, jak mi żal, że od ciebie odchodzę, ale muszę”. W zaciąganym „muszę” kryje się niedopowiedzenie: muszę iść mordować.

I gwałcić.

I gwałcić.

Podobnie brzmią pieśni serbskie. Są niesamowicie piękne i rzewne. Z nimi na ustach mężczyźni wyruszają w bój. Jakie – poza narodową histerią 11 września – są niebezpieczne pola minowe Stanów Zjednoczonych?

Do niedawna jednym z nich był kapitalizm. Jednak sytuację radykalnie zmienił kryzys. Andrew Cuomo, aktualny gubernator Nowego Jorku, wprowadził podatek dla bardzo dobrze zarabiających, podczas gdy jeszcze dwa miesiące temu zarzekał się, że tego nie zrobi. Dotąd w USA wolno było mówić jedynie językiem triumfującego kapitalizmu, każdy inny dyskurs był natychmiast ośmieszany jako idiotyzm i dziecinada.

Krytykować kapitalizm mógł tylko człowiek niepoważny?

A jeśli ten niepoważny człowiek mówił w dodatku „z akcentem”, bo był emigrantem, to w ogóle lepiej, żeby milczał. Przez lata mojego pobytu w USA stopniowo odchodzono od tego, co nazywa się państwem opiekuńczym, a *de facto* jest życiem społecznym, dbałością o równowagę. Z czasem biednych wyrzucono za burtę.

Powiedziałaś „odchodzono”. To znaczy, że kiedyś Ameryka była inna?

Kiedy przyjechałam do Ameryki, było zupełnie inaczej. W porównaniu z dzisiejszymi rządami Nixon był szalenie lewicowy.

Kolorowych traktowano jednak wtedy gorzej.

Jeśli chodzi o asymilację, integrację i budowę czarnej klasy średniej nie ma regresu,

jest postęp. Szacunek dla mniejszości afroamerykańskiej i latynoskiej rośnie. Natomiast kolejne instytucje państwowe, których zadaniem była pomoc społeczna dla biednych – białych i czarnych, są likwidowane. To jest projekt polityczny, a nie ekonomiczny. Pod koniec lat sześćdziesiątych rozpoczęli go konserwatyści, a dwa miesiące temu podważyło *Occupy Wall Street*. Nagle Obama zaczął mówić o społecznych nierównościach, a jeszcze podczas kampanii nie przechodziło mu to przez gardło. Ludzie wybrali Obamę, bo mieli dość oszalałych republikanów, ale republikanie pozostali potęgą, dlatego Obama szedł na kolejne ustępstwa. W oczach wielu potwornie się skompromitował. Okrzyczano go kolejnym po Jimmie Carterze słabym prezydentem. Tymczasem w ostatnich tygodniach nabrał większej pewności. Dotąd ludzie z jego ekipy przemawiali mniej więcej tak: „wybraliście nas i uważacie, że my wszystko zmienimy, ale my potrzebujemy uprawomocnienia w postaci waszego głosu i waszej siły”. Dotąd ów głos płynął jedynie z prawa. Teraz odezwał się wreszcie z lewa.

Tyle że ten głos kwestionuje w ogóle istnienie państwa.

Occupy Wall Street nie jest przeciwko państwu. Wręcz przeciwnie: jest za instytucjonalną kontrolą. W Stanach ruch przeciwko państwu zaczął się jako konserwatywna reakcja na 1968 r. Dzisiaj karmi się poczuciem absolutnego zagrożenia. Zagrożenia ekologicznego, nuklearnego, terrorystycznego, finansowego. A także państwowego, bo Stany Zjednoczone są jako organizm państwowy i jako imperium krajem coraz słabszym, ale coraz bardziej wewnętrznie zmilitaryzowanym. Antypaństwowa ideologia republikańska wykorzystuje ten strach, skądinąd zupełnie racjonalny.

Grudzień 2011

Opracowanie: Anna Zawadzka

Bibliografia

- Gross Jan Tomasz, Grudzińska-Gross Irena**, 2011, *Złote żniwa*, Kraków: Znak.
- Grudzińska-Gross Irena**, 1995, *Piętno rewolucji. Custine, Tocqueville i wyobrażenia romantyczna*, tłum. Bożena Shallcross, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Grudzińska-Gross Irena**, 2002, *Kontrowersyjny klasyk*, „Gazeta Wyborcza” z 14–15 września 2002.
- Janicka Elżbieta**, 2010, *Pamięć nieprzyswojona?*, „Kultura Współczesna”, nr 1, s. 190–201.
- Janicka Elżbieta**, 2011, *Oś Muranowska. Wywiad Patrycji Dołowy i Marii Cyranowicz z Elżbietą Janicką*, „Academia”, nr 1 (25); www.academia.pan.pl/dokonania.php?id=603&jezyk=pl (dostęp z 10 czerwca 2012).
- Sontag Susan**, 2001, [komentarz], „New Yorker” z 24 września 2001.